

## PRZYSZŁOŚĆ NASZYCH MIAST

1. W roku 1945, gdy kończyła się już druga wojna światowa, miało się wrażenie, iż miasta niemieckie nie mają żadnej przyszłości. Tylko niektórym z nich udało się wyjść bez szwanku z ustawicznych nalotów i bombardowań. Wiele miast uległo całkowitemu zniszczeniu; wydawało się nawet, że zniknęły z pola widzenia raz na zawsze. Kto, tak jak ja, wzrastał w zniszczonym mieście Freiburgu, ten pamięta z pewnością dokładnie atmosferę, jaka wówczas panowała: pożary i kłęby dymu w ostatnich tygodniach wojny, kiedy to chyba nikt już nie przejmował się swoimi rzeczami, zgnilizną i osuwającymi się kamieniami, kryjąc się w wilgotnych i ociekających wodą piwnicach, drgawkami upadającego nazistowskiego państwa, sądownictwem i spaloną ziemią. Pojawiła się odrobina radości z chwilą zakończenia tej okropnej wojny, kiedy zamilkły syreny i przestały już spadać na ziemię różnorodne bomby. Pośród tych wszystkich gruzów rosły wtedy ciekawość i zdumienie.

Alfons Kenkmann opisał<sup>1</sup> awanturnicze i cygańskie życie po roku 1945 w Zagłębiu Ruhry: koczowanie na złomowiskach Essen, Duisburga, Düsseldorfu i Kolonii, zbieranie i chomikowanie środków spożywczych, wyprawy po nie w kradzionych niejednokrotnie wozach lub samochodach poprzez całe sterty gruzów, interesujące życiowo powstawanie nowych światów, niezależność, bezczynność, ustawiczna zmiana wrażeń i przeżyć. „W tych pełnych samych ruin krajobrazach – pisze Kenkmann (a do roku 1948 nie zdołano jeszcze uprzętnąć około 40 % ruin) – uległa całkowitemu zniszczeniu «subiektywna geografia przestrzenna» wraz ze swymi odległościami pomiędzy dawnymi dzielnicami i ich ukierunkowaniem. Na «poznawczej mapie» dawne odległości i kierunki straciły swoje znaczenie i wymagały nowych doświadczeń...”<sup>2</sup>. W miastach położonych w Nadrenii i w Zagłębiu Ruhry

---

<sup>1</sup> *Wilde Jugend*, Essen 1996.

<sup>2</sup> Tamże, s. 240.

zniszczono pod koniec wojny od 30 do 60 % mieszkań. Pojawił się więc katastrofalny kryzys mieszkaniowy. „W Kolonii z 252.000 mieszkań zostało całkowicie zniszczonych około 111.000, w Krefeld z 56.000 – około 24.000, a w Essen z 205.100... – około 97.400. W całym rejonie Düsseldorfu z 53 milionów metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej w 1939 roku zachowało się w czerwcu 1947 roku zaledwie 25 milionów metrów kwadratowych”<sup>3</sup>

Zrozumiałą w pełni jest rzeczą, iż w tak dramatycznym doświadczeniu rozszerzało się z niezwykle potężną siłą pragnienie stabilności i zadowolenia, utrzymania i zamieszkiwania. Budowa mieszkań stała się więc w latach powojennych jednym z najważniejszych zadań politycznych. W wielu zaś przypadkach trzeba było zaczynać budowę od podstaw. Zniszczone miasta straciły swoją „optyczną tożsamość” W masie gładów, pogiętej stali, zrujnowanych fasad i strzępów murów nie dało się już rozpoznać, jak wyglądały ongiś Monachium, Kolonia, Stuttgart czy Hamburg.

Kiedy wraz z wprowadzeniem w życie planu Marshalla i reformy walutowej sprawy zaczęły jakoś się układać, kiedy Ludwig Erhard – jedyny do dzisiaj faktyczny reformator systemu w całej powojennej historii Niemiec! – poruszył mocno skostniałe relacje i zmusił je nawet do jakiejś współpracy, kiedy skończyły się już obowiązkowe kartki na żywność i przymusowe zarządzanie gospodarstwem, pojawił się natomiast wolny rynek i powstała Republika Federalna – dopiero wtedy ruszyło także budownictwo, a wraz z nim budowanie mieszkań. Dokładnie połowa całego budownictwa w pierwszych dwóch dziesięcioleciach po roku 1950 przypadła na budownictwo mieszkaniowe. Opłacane początkowo przeważnie ze środków oficjalnych, budownictwo to było także wspierane aż do końca lat pięćdziesiątych rynkiem kapitałowym. „Szybkość, z jaką pokonano brak mieszkań, należy niewątpliwie do największych obciążeń historii Federalnej Republiki. Ani laicy, ani fachowcy nie uważali przy końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych za możliwe te późniejsze rekordy budowlane” – stwierdza Günther Schulz<sup>4</sup>. Od roku 1950 budownictwo wzrastało z roku na rok i osiągnęło w końcu milion nowych mieszkań w ciągu roku – rekord w historii Niemiec na skalę międzynarodową. „Równocześnie mieszkania stawały się większe i bardziej komfortowe.

<sup>3</sup> Tamże, s. 244.

<sup>4</sup> *Wiederaufbau in Deutschland*, Düsseldorf 1994, s. 336.

Przeciętna ich powierzchnia wzrosła w całym budownictwie z 54,8 metra kwadratowego w 1952 r. do 63,7 w 1957 roku; o cztery metry kwadratowe pozostawało przy tym w tyle socjalne budownictwo mieszkań... Powszechnie podnoszono standard budowy. Regułą stało się wyposażenie mieszkania w łazienkę i coraz bardziej także w instalację centralnego ogrzewania. Obniżały się mocno procenty najmu mieszkań: z trzynastu w 1948 r. do dziewięciu w 1955 i pięciu w 1960 roku. Liczba mieszkań tymczasowych spadła w latach 1950–1956 o ponad 10 %, obejmowała jednak ciągle jeszcze 483.515 mieszkań. W roku 1956 obliczono 12,73 milionów mieszkań «normalnych», czyli o 35 % więcej niż w roku 1950. Wzrosła równocześnie ilość dozorców z 67,7 % w 1950 roku do 84,5 % w 1956 roku... Wskaźniki dotyczące całej Republiki, jak też poszczególnych jej regionów, ukazują, że od końca lat pięćdziesiątych «nie można już mówić o nędzy mieszkaniowej», zaś coraz bardziej idą w niepamięć pojęcia mieszkań tymczasowych lub zastępczych. Było to, także zdaniem dzisiejszego historyka odbudowy, niewątpliwie «historyczną zasługą tej polityki budowlanej, że mieszkania barakowe okazały się prowizoryczne i mogły być wciąż likwidowane»<sup>5</sup>

Ze względu na te liczby mówiono nawet o jakościowym wzroście – o „kresie łaknienia” Wzrosła bowiem bardzo pokaźnie nie tylko ilość produkcji, ale także jakość budowanych mieszkań. „Jako wystarczające «standardowe wymiary mieszkania robotniczego w XIX wieku» uważano wciąż izbę o wielkości 4 na 5 metrów, kuchnię o wymiarach 2,5 na 5 m i alkowę mającą 2 na 5 metrów. Ten standard został ostatecznie przewyżniony w latach pięćdziesiątych. Socjalna budowa mieszkań zlikwidowała stan nędzy, jaki cechował od dawna relacje mieszkaniowe ludzi uboższych. W znacznej też mierze zmniejszył się ciężar wynajmu mieszkań. Pojawiły się w końcu możliwości oficjalnego domagania się własnej budowy i posiadania typowo własnych mieszkań”<sup>6</sup> Należy dodać dla całości obrazu, że w tym czasie mieszkało we własnych domach lub we własnych mieszkaniach w Niemczech Zachodnich około 41 %, a w Niemczech Wschodnich około 24 % obywateli. Ta sytuacja sprawiała jednak, że Niemcy pozostawały w tyle w stosunku do innych krajów, takich jak: Wielka Brytania i Włochy, które miały 67 %, Hiszpania – 78 %, Irlandia – 81 %. Zauważalny był

<sup>5</sup> Tamże, s. 336-337.

<sup>6</sup> Tamże, s. 348.

jednak postęp, albowiem po roku 1945 zaczynało się niemal od zera, od *tabula rasa* totalnego zniszczenia, w Niemczech zaś powstały po wojnie największe na całym naszym kontynencie (obok miast Beneluxu, północnej Francji i górnych Włoch) miejskie skupiska ludności. Krok w kierunku przemysłowo-technicznego zamieszkiwania w warunkach miejskich, a nawet wielkomiejskich, jawił się niemal jako ostateczny i nieodwracalny, kiedy inne kraje miały jeszcze przed sobą – a częściowo jeszcze mają – przesiedlanie się ludności ze wsi do miasta, z wiejskich posiadłości do własnych mieszkań w mieście.

2. I tak odbudowa po drugiej wojnie światowej stała się historią sukcesu. Szybciej niż planowano i oczekiwano zniknęły zniszczenia wojenne. Ogłaszane co roku przez Ministerstwo Budownictwa wyniki brzmiały jak fanfary piękniejszego świata.

Jak wyglądały te nowe mieszkania w tak szybko rosnących miastach? Rozwój nie dokonywał się w prosty sposób. W powojennej dynamice przemysłowej zespala się wiele sprzecznych rzeczy, tak że idą niemal w parze ze sobą „odbudowa” i „nowa budowa” przy równoczesnym rozdrabnianiu gruntów należących dotąd do jednego właściciela. Początkowo sięgało się, zwłaszcza przy socjalnej budowie mieszkań, do typowych – zwłaszcza w latach dwudziestych i trzydziestych – wzorców niewielkiego mieszkania wielofunkcyjnego: kuchnia robocza, niewielka sień, składane łóżko, jeden pokój na przemian sypialny-jadalny. Jednak znacznie większe wymagania wyrugowały wkrótce z rynku to oszczędne budownictwo. Bardziej funkcjonalne mieszkanie piętrowe, standardowa „machina mieszkalna” stała się zdobyczą powszechną w NRD – obok wielkich bloków mieszkalnych (nazywanych potem ironicznie „robotniczymi skrytkami pocztowymi”!) wznoszonych od późnych lat pięćdziesiątych jako „robotnicze pałace” przy Alei Stalina.

Lata sześćdziesiąte stały się zwłaszcza w Niemczech Zachodnich dosyć późnym stosunkowo zwycięskim pochodem „nowego budownictwa” czasu Weimarskiego. Zmieniły się zasadniczo formy budowy domów, tracąc tym samym swoją ekskluzywność. Rozwinęła się nowa prostota dawnej awangardy: całe rzędy trzy- lub cztero-piętrowych domów z niemal jednakowymi oknami i balkonami, z bardzo podobnymi do siebie dachami i bezbarwnymi fasadami, a pomiędzy nimi trochę zieleni i niewielkie place do zabawy dla dzieci. Uprzemysłowienie budownictwa wyrugowało domy indywidualne – zwłaszcza w NRD z typową dla niej byle jaką architekturą, podczas gdy w dawnej Republice Federalnej krajobrazowe tradycje budowlane wraz ze stosowaniem miejscowych materiałów stanowiły długo jeszcze faktyczną

przeciwwagę. W latach sześćdziesiątych krążyło tutaj słowo o „niegościnnosci miast” To oczywiście, że Niemcy nie czuli się wcale dobrze w tych nowych, obszernych domach i że mieszkania nie były dla nich czymś prawdziwie swojskim.

Wiązało się to głównie z niezwykle szybkim rozwojem wielkich miast i ich globalną odmianą w dobie powojennej. Im bardziej posuwały się naprzód odbudowa i modernizacja, tym bardziej rozpadało się miasto jako jedność. Rozbudowywano ulice, krążyły wokół słowa o „prawie miasta do samochodów” Coraz bardziej oddzielały się od siebie: mieszkanie i praca, o wiele bardziej niż w początkach przemysłowienia. Wzrastająca wciąż mobilność jednostek prowadziła do zniknięcia przemieszanych centrów. Konkretnie funkcje lub czynności: praca, sen, jedzenie, jazda, czas wolny – zastąpiły to „zagęszczone życie”, jakim się cechowało miasto historyczne. Ostatecznie to nowoczesne wielkie miasto stało się po drugiej wojnie światowej niemal przeciwieństwem tradycyjnego miasta europejskiego. Przestrzenne oddzielenie różnych dziedzin życia stało się niemal zasadą – u nas i w innych krajach. Nowa mapa Aten stała się poniekąd wzorcem miejskiego postępu. Na obrzeżach pojawiły się dzielnice mieszkalne, natomiast w starożytnej części miasta powstały centra handlowe, usługowe i inne, uniemożliwiające do pewnego stopnia spokojne tam mieszkanie. Podwoiła się przestrzeń mieszkalna, potroiła powierzchnia zawodowa – ruch nabrzmiał bezgranicznie. Wielkie miasto stało się aglomeracją z kolosalnymi powierzchniami przeznaczonymi dla szkół, wyższych uczelni, do uprawiania sportu i spędzania czasu wolnego, z ozdobionymi kunsztownie jeziorkami do kąpieli i pływania, ze szpitalami wielkimi jak całe dzielnice miasta. Autobusy i tramwaje przewożą codziennie tłumy pracowników do centrum, które wieczorami świeci właściwie pustkami wygasłych świateł w oknach olbrzymich wieżowców. W ten sposób miasta tracą na nowo – po bombardowaniu i wojennym zniszczeniu – swoją „optyczną tożsamość”

W budowie miasta rozpowszechnił się minimalny styl utrwalonej historycznie celowości, wskutek czego wszystko wygląda mniej więcej jednakowo, niezależnie od tego, czy będzie to Tokio czy Montewideo, Los Angeles czy Frankfurt – wszędzie takie same banki i bary, podobne domy i biurowce, dworce i teatry. Bezsensownie wznoszą się niektóre budowle o typowo współczesnych akcentach ponad ogólną ich jednorodność – wykpiwane przez ludność jako „przekłuwacze dusz” i „ciężarne ostrygi” (w Berlinie) lub też jako „dług i należność” (we Frankfurcie). To nowe nie pasuje bowiem wcale do zachowanego

jeszcze starego. Wszelkie reguły jakby zaniknęły. Żaden lub prawie żaden ślad nie został już po „starym” mieście, w którym place, ulice i budowle, wieże i mury tworzyły jakąś jedność i zgadzały się całkowicie ze sobą w swych proporcjach, gdzie dominowały waga i rozmiary ludzkiego ciała – noga, łokieć, krok – a życie mogło się swobodnie rozwijać nawet w najbardziej ciasnym pomieszczeniu, gdyż wszystko było miarowe i nie było niczego dowolnego lub przypadkowego.

Przemysłowy rozwój Europy po drugiej wojnie światowej doprowadził w wielu miejscach – głównie zaś w wielkich miastach – do zniszczenia rozwiniętych już struktur budowlanych. Stare domy trzeba było niemal koniecznie przebudowywać na bardziej funkcjonalne: były one bowiem o wiele tańsze w porównaniu z utrzymaniem nadal starej masy budowlanej. Wzrastające ceny gruntów budowlanych w centrach miast prowadziły same przez się do bardziej racjonalnego wykorzystywania ziemi, co wpływało siłą rzeczy na sytuację wybudowanych przed wiekami domów i ulic. Stal, glazura, cement, beton zastąpiły dawne materiały budowlane: drewno, kamień i cegłę. Wzrastająca motoryzacja zaoferowała wielu domom i ulicom tylko swój hałas i spaliny. Place zostały zdegradowane do roli powierzchni parkowych, pozbawione okien nowe budowle usytuowano jak jakieś wielkie kłocce tuż obok siebie na niewielkim terytorium. Ofiarą materialnego dobrobytu, polepszenia komfortu mieszkaniowego, utworzenia wielkich centrów handlowych i opiekuńczych, a w końcu obłędnej idei „samoprawnego miasta” stały się w przerażającym stopniu te budynki, które przetrwały wojnę i nie wykazywały żadnych braków, a których przy odrobinie dobrej woli nie powinno się być usunąć. Jest to wprost niewiarygodne, ale prawdziwe: straty w historycznej zabudowie, jakie wystąpiły najpierw podczas wojny, nie są obecnie w wielu miejscach bynajmniej mniejsze od strat wojennych.

3. Staje się w ten sposób bardziej zrozumiałe, że już w latach sześćdziesiątych, ale zwłaszcza w siedemdziesiątych wieku XX, pojawiło się wyraźne nastawienie przeciwne – głównie pod znakiem ochrony zabytków i troski o środowisko. W Europejskim Roku Ochrony Zabytków (1975) nawoływano w wielu krajach do zachowania dziedzictwa architektonicznego, *patrimoine* – jak je Francuzi nazywają. Zaczęto nowymi oczyma spoglądać na przeszłość. Odkryto na nowo piękno ukrywane dotąd celowo i jakby na siłę. „Staromodne” zawody, takie jak: opiekuna własnej małej ojczyzny (*Heimat*), obrońcy środowiska, opiekuna zabytków – pojawiły się na czele problematyki związanej z ochroną środowiska, uzyskując nową, awangardową rolę.

Utworzyły się nowe koalicje w walce o mile i zaciszne restauracyjki – przeciwko zaplanowanym kolosalnym budynkom z aluminiowanymi oknami. Architekci, zaraz po przewyciężeniu mody na postmodernizm, wycofali się ostrożnie z modnych materiałów budowlanych i odkryli ponownie ciche, ale i wytworne zarazem, piękno ozdobnej lub przynajmniej odpowiednio ukształtowanej fasady. Poprzez odwołanie się do tradycji zrelatywizowano bezplanowy modernizm. W ślad za wyciszającym się stopniowo dążeniem do dalszego czy dłuższego eksperymentowania pojawiła się jakaś tęsknota do czegoś stałego, dającego się ustawić mocno na nogach. Ponownie odkryto to, co klasyczne, a muzea zaczęły przeżywać zdumiewający wzrost liczby osób je zwiedzających. W stosunkowo krótkim czasie odżyła mocno u architektów i budowniczych, w przemyśle i polityce, gotowość współżycia z przeszłością.

Czy była to jedynie ucieczka do tego, co muzealne, w przeszłość, w idyllę? Nie sądzę. Kto widział, jak typowo pomnikowe (monumentalne) miasta – choćby takie, jak Bamberg, Ratyzbona, Lubeka – ożyły tak naprawdę dzięki programom zachowania i rewitalizacji, jak młode zwłaszcza rodziny potraktowały bardzo na serio szanse odbudowania starych domów i w nich zamieszkania, ten wie, że nie chodziło tu bynajmniej o jakieś przelotne tylko nastawienie czy też jakąś snobistyczną modę. Oczywiście, często nie było możliwe zachowanie tych historycznych budynków w całkowicie niezmienionym stanie; pojawiał się przeto co najwyżej problem: kiedy ta zabytkowa budowla będzie także dzisiaj tak używana, jak za dawnych dni, lub też kiedy pierwotne jej zastosowanie trzeba będzie zastąpić nadaniem jej charakteru muzealnego. Nikt nie jest w stanie żyć obecnie tak po prostu w uwarunkowaniach życiowych, typowych dla XVIII lub XIX wieku (choćby podejmowano już niejednokrotnie tego typu próby!). Powinniśmy się więc cieszyć choćby z tego, że pewien zakątek czy też dzielnica miasta z tamtych czasów stała się dzięki samej ludności miejscowej dzielnicą mieszkalną i że są tam także odpowiednie miejsca pracy. Bez aktualnego wykorzystania każdy taki zabytek traci na dłuższą metę rację swego istnienia. Jest jednak wiele dróg umożliwiających zespolenie dążeń do lepszego wyposażenia i komfortu z zachowaniem samej substancji danej budowli. Umożliwia to dzisiejsza technika: przetaczające ciepłe powietrze pompy mogą na przykład z powodzeniem zastąpić dawne, trudne dziś do wykorzystania, systemy ogrzewcze, zmniejszając przy tym znacznie objętość danych przewodów. Ogrzewanie elektryczne wymaga ostatecznie tylko założenia kabli o odpowiedniej grubości.

W zakresie instalacji elektrycznej modernizację starych budowli ułatwiają, przy bardzo niewielkim nakładzie sił i pracy, nowe rodzaje kabli i przewodów. Klimatyzacja i technika służąca odpowiedniemu doprowadzaniu świeżego powietrza stwarzają wiele możliwości uzdatniania starych powierzchni do zamieszkiwania. Nawet samochody (w niedalekiej przyszłości prawdopodobnie także z napędem elektrycznym) można z powodzeniem, przynajmniej niekiedy, umieszczać na dawnych miejscach lub w przerobionych odpowiednio, nawet bez jakichkolwiek zmian zewnętrznych, pomieszczeniach.

4. Skoro widoczne są już w krajach europejskich pewne znaki wyrównania oraz przewyżczenia skrajności, to można się spodziewać, że ucząc się na błędach znaczna część dzisiejszego świata wejdzie w najbliższych latach lub dziesięcioleciach w tenże proces rozwoju i nauki. Zgodnie z dzisiejszymi wskazówkami, przyszły świat będzie światem miejskim. „Globalna wioska” nie będzie już wsią, ani jakimś zbiorem wsi, ale raczej wielkim zbiorowiskiem miast i typowym dla miast zagęszczeniem przestrzeni. Istnienie takiej właśnie tendencji w swoich krajach podkreślił wielokrotnie i potwierdził szczyt „Habitat II”, poświęcony polityce osiedleńczej i miejskiej, jaki miał miejsce w czerwcu 1996 r. w Istambule. Globalny proces tworzenia miast posuwa się wciąż naprzód, a jego końca dotąd jeszcze nie widać.

Codzienny przyrost ludności świata wynosi około 280.000 ludzi. Większość z nich żyje już teraz w miastach. W ostatnich dziesięcioleciach wzrastała przy tym mocno ilość tzw. mega-miast (liczących ponad 20 milionów mieszkańców). O ile w 1990 roku 2,3 miliardy ludzi żyło w miastach, to według obliczeń ogólnoswiatowych liczba ta się podwoi w roku 2025. Będzie wówczas na świecie około 100 miast liczących ponad 5 milionów mieszkańców, przy czym większość z nich powstanie w krajach rozwijających się, w krajach Trzeciego i Czwartego Świata. Te wielkie aglomeracje narzucają wiele społecznych i organizacyjnych problemów i wymagają całkowicie nowych form urządzania miasta. Poszukuje się zatem – jak kiedyś napisano w jednym z dzienników – jakichś „miejskich magików”

Czy oznacza to, że ten globalny świat jest skazany na powtórzenie wszystkich dotychczasowych błędów Europy, i to na większą jeszcze skalę? Czy musi znów pójść w ruch spirala wzrostu ludności, ekspansji przemysłowej, ucieczki z wiosek i urbanizacji krajów całego świata? Zanim postawimy sobie te lub tym podobne pytania i zareagujemy na te nowe cyfry z trwogą i przerażeniem, powinniśmy najpierw wyjaśnić powód, dla którego proces urbanizacyjny posuwa się naprzód w tak



szybkim tempie. Miasto – także to wielkie, to mega-miasto – ukazuje wciąż ludziom jakieś interesujące ich społeczne, przemysłowe i kulturalne perspektywy, które dla większości dzisiejszych ludzi stają się bardzo atrakcyjne – właśnie jako miejsce zamieszkania. Miasto może na przykład o wiele lepiej wykorzystać swój potencjał przemysłowy dzięki zwartej i ściśle współpracującej ze sobą sieci powiązań, aniżeli da się to uczynić w gęsto zaludnionych przestrzeniach. Może być ono znakomitym polem oglądania wielości kulturowej, motorem inicjatyw, które gdzie indziej spalają na panewce i zanikają. Może dawać przeróżne bodźce do indywidualnego rozwoju i do społecznej integracji. Może także, jeśli tylko istnieją odpowiednie uwarunkowania przestrzenne, stać się swoistym wzorem skutecznych poczynań ekologicznych, zapewniając wielu ludziom wysoką stopę życiową na tak niewielkiej powierzchni terenu.

Miasto może to wszystko, ale bynajmniej tego nie musi. Ma bowiem pewne możliwości, zasoby, pewien potencjał służący pozytywnemu rozwojowi. Czy może jednak wyczerpać ten potencjał, zachowując przy tym jakąś równowagę pomiędzy polem przestrzennym i społecznym? Czy też grożą wówczas jakieś wypaczenia, nierówności, rozwój kosztem innych, zwłaszcza wiejskich przestrzeni – wraz z powszechnie znanymi kosztami i następstwami społecznymi?

W aktualnej dyskusji pojawia się tutaj bardzo systematycznie i regularnie magiczne słowo: „długo-terminowość”. Znamy ten długo-trwały rozwój jako zasadę zagospodarowania ziemi i lasów. Jakie jednak znaczenie ma ono w stosunku do miast? Oczywiście, ma ono doprowadzić do tego, by mieszkania, prace, wykształcenie, opieka medyczna, czas wolny, ruch miejski – odnosiły się znów nawzajem do siebie, zamiast starać się o to, by „zespolic je razem” pod znakiem „troski o funkcjonalność” (wraz ze wszystkim zgubnymi następstwami dla form budowy i zasiedlania, jakie już widzieliśmy). Poszukuje się przeto odpowiednio dopasowanych, otwartych na różne potrzeby, miast i dzielnic, a nie określonych funkcjonalnie dzielnic i budowli, w których niezwykle trudne bywa jakieś alternatywne ich wykorzystanie. Długo-terminowy rozwój oznacza także, że miasto będzie w stanie przekazać ponownie swoim mieszkańcom poczucie własnej tożsamości, własnej małej ojczyzny – i to w dobie internetu i globalizacji. Miasta powinny się stać miejscami komunikowania się, wymiany, wielości i tolerancji, miejscami, w których ludzie mogą się poruszać bez lęku czy obawy, rozwijając jednakowo swoją własną osobowość w wolności.

Czy jednak te wielkie i wciąż powiększające się miasta mogą to wszystko urzeczywistniać w czasie, kiedy w wielu krajach przestały już one same funkcjonować jako tradycyjne przestrzenie prawa i pokoju? W wielu miastach świata nie można przecież nawet całych dzielnic traktować jako bezpieczne i „wolne od strachu”, albowiem opanowały je uzbrojone bandy i/lub sprzedawcy narkotyków. W wielu miejscach nie ma już po prostu „miasta”: są jedynie kwatery, mieszkania, wynajmy, immunitety, czyli domy handlowe i zakłady, które znajdują się pod specjalną ochroną prywatnej na ogół służby bezpieczeństwa, z drugiej zaś strony są wille z ogrodami, do których się wchodzi wyłącznie dzięki kodowanej karcie lub za pomocą klucza elektronicznego; a wśród tego wszystkiego mamy coraz bardziej zanikającą „normalność” miejską. Jak może się to skończyć? Czy domem jako twierdzą strzeżoną przez psy bojowe? Czy też znacznie większą od dotychczasowej mobilizacją prywatnej ochrony (od lat już mamy takie nowe, rozwijające się wciąż zawody!)? Czy stałą obecnością policjantów (względnie, jak to miało miejsce w nie tak dawnym jeszcze Bloku Wschodnim, policjantów i żołnierzy) wyraźnie widocznych w samym centrum miasta (czy ktoś jest w stanie ich zliczyć)?

Nie sądzę jednak, by inicjatywy jakiegoś „długoterminowego rozwoju” (a na dłuższą metę oznacza to ostatecznie nic innego, jak tylko osiedlanie się i mieszkanie!) dzisiejszych mega-miast mogły faktycznie się udać. Te bowiem sztuczne i wielce obciążone organizmy zajmują się obecnie całkowicie innymi rzeczami niż rozwojem nowej kultury solidarnościowej. Można by, co prawda, wyobrazić sobie taki długoterminowy rozwój w przestrzeniach, które zespalają w sobie miejskie i wiejskie, zintegrowane i otwarte sposoby zasiedlania, czyli w takich krajobrazach kulturowych, które są na równi otwarte na produkcję i wypoczynek, na pracę i czas wolny. A zatem możliwe jest to o wiele bardziej w małych i średnich miastach, aniżeli w wielkich aglomeracjach, bardziej w miasteczkach z niewielkimi masami ludzkimi, aniżeli w całkowicie anonimowych wieżowcach mieszkalnych...

Człowiek mieszka nie tylko w swoim mieszkaniu, w swoim pokoju, ale mieszka przede wszystkim w domu, przy danej ulicy, w danej dzielnicy, w mieście, w określonym otoczeniu, krajobrazie. Mieszka pośród ludzi. Mieszka w określonych porach roku. Przemysł tuż obok, ogrzewana izba w zimie, święta w ciągu roku, koncerty i wystawy, wypadki do teatru i na boisko sportowe – to wszystko należy do jakości jego mieszkania i życia, podobnie jak osiągalne na pieszo urzędy, możliwości kształcenia w szkołach, świątynie, związki zawodowe i inne,

kioski z gazetami, kwiatami i warzywami, a także kino na sąsiednim placu. A także ratusz, klasztor, katedra na obrazie miasta, niewielka rzeczka, ulice i place, wspaniały połysk głównej ulicy, ciche zaułki i uliczki, jedyny w swoim rodzaju krajobraz ulic i dachów – to wszystko należy do miasta. Jeżeli nasze miasta mają mieć przyszłość, to powinny być one nie tylko wielkie, ale przede wszystkim „miejskie” – budowane odpowiednio do liczby mieszkańców i zamieszkiwane przez ludzi.

**tłum. ks. Lucjan Balter SAC**